

# ODDAŁAM SIEBIE!

Z KRYSYNA JANDĄ rozmawia KRZYSZTOF LISOWSKI



Spotykamy się za sprawą sztuki „Mała Steinberg”. To kolejny już monodram w pani karierze. Wyjątkowo trudny.

- Owszem, jednak minęły już pierwsze wątpliwości, kiedy zastanawiałam się, jak mam grać. A największą nagrodą jest to, że po pierwszym przedstawieniu jedna z pań obecnych na widowni podeszła do nas, zdjęła bardzo kosztowny pierścionek i przekazała go na licytację na rzecz fundacji „Synapsis”. Chcieliśmy, aby widownia dowiedziała się o autyzmie, przejęła się tym tematem, żeby ludzie zaczęli myśleć o wszystkich chorych na autyzm z większą tolerancją i zrozumieniem. To był mój cel. I rzeczywiście wydaje się, że spektakl wywiera duże wrażenie.

Przygotowując się do tej roli musiała pani posiadać ogromną wiedzę na temat autyzmu, poznać dzieci autystyczne.

- Tak. Od momentu, kiedy zaczęłam budować rolę, po prostu z wielu poznanych przypadków wybierałam różne elementy, które potem składały się na nią, z których lepiłam „Małą...”. Wszyscy szalenie mi pomagali. Mówili dzieciom i rodzicom o tym, że spotykam się z nimi i ich obserwuję, ponieważ chcę zagrać dziecko autystyczne. Większość to rozumiała. Byli nadzwyczajni. Przychodzili na próby, tak zresztą, jak terapeuci z fundacji, jakby czuwaliby nad tą rolą. A wybierałam takie elementy, które mogły złożyć się na spójną całość. Autyzm to choroba, która ma naprawdę bardzo różne oblicza i objawy.

Spektakl „Mała Steinberg” bierze udział w akcji wspomagającej fundację „Synapsis” A konkretnie?

- Fundacja „Synapsis” wyprodukowała ten spektakl, zdobyła pieniądze na produkcję „Małej Steinberg”. Ja natomiast „dałam” im siebie.

Jakie było pani podejście do autyzmu, zanim zagrała pani w tej sztuce?

- Po pierwsze, od sześciu lat współpracowałam z fundacją i orientowałam się w problemie i chorobie. Stosunek? Tak, jak każdego wrażliwego człowieka, który codziennie dziękuje Bogu, że ani on, ani jego dzieci nie są dotknięte chorobą i próbuje zrobić choć minimum, żeby tym doświadczonym pomóc.

Pojawiły się już pierwsze recenzje spektaklu. Jedne są bardzo pozytywne, ale pojawiają się też głosy, że sztuka ta manipuluje ludzkimi uczuciami. Co pani na to?

- Pojawiła się jedna głupkowata recenzja stawiająca tezę, że być może kalekę powinien grać kaleka, chorego chorego, szewca szewc itd. Teatr to manipulowanie ludzkimi uczuciami.

Coraz częściej spotykamy panią śpiewającą. Piosenka to chyba jedna z pani ulubionych form wyrazu?

- Owszem. I coraz częściej występuję w Warszawie. Mój minirecital z pio-

senkami z moich spektakli zagrałam czy - jak kto woli - zaśpiewałam, około 100 razy w całej Polsce. Urodził się on na scenie radiowej w studiu im. Agnieszki Osieckiej i tam został zarejestrowany na płytę „Krystyna Janda Live”. Ale potem wciąż ktoś chciał, żebym go śpiewała na żywo. To i śpiewam.

Czy można spodziewać się kolejnych pani płyt?

Krystyna Janda zadebiutowała w 1976 roku rolą dziennikarki w jednym z najważniejszych filmów Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”. Ma w swoim dorobku wiele niezapomnianych kreacji („Przesłuchanie”, „Kochankowie mojej mamy”, „Modrzejewska”, „Zwolnieni z życia”, „Stan posiadania”). Na ekranach kin widzieliśmy ją niedawno w roli matki Cezarego Baryki w filmie „Przedwiośnie” Filipa Bajona, mogliśmy oglądać ją w prestiżowych przedstawieniach na deskach stołecznego Teatru Powszechnego, m.in.: w „Marlenie”, „Shirley Valentine” i „Marii Callas”. Od niedawna w warszawskim Teatrze Studio występuje w sztuce „Mała Steinberg” - jest to monolog kilkuletniej, chorej na autyzm dziewczynki. Kilka tygodni temu odbyła się też premiera nowej sztuki „Siedem grzechów głównych” - tym razem na deskach warszawskiego Teatru Wielkiego.

- Przed kilkoma dniami pojawiła się wśród krążków dokumentujących twórczość Marka Grechuty płyta przypominająca nasz wspólny „Malinowy chruśniak” Leśmiana z muzyką Marka. Płyta nagrana lata temu. Z tego bardzo się cieszę.

Ale pojawiła się też pani i to pierwszy raz w życiu na deskach stołecznego Teatru Wielkiego.

- Tak, tak! 16 listopada w Operze Narodowej odbyła się premiera „Siedmiu grzechów głównych” Brechta i Weilla, gdzie śpiewam. To rodzaj recitalu-monodramu. Balet śpiewany, napisany i skomponowany dla Lotte Leni. Jeden z filarów klasyki do śpiewania. Nigdy w najśmielszych marzeniach nie spodziewałam się, że ja zostanę poproszona do premierowego polskiego wykonania. To jest niewątpliwie to, co mnie zawsze interesowało najbardziej. Moje śpiewanie lata temu zaczęłam właśnie od Brechta.

Ogromnym sukcesem okazała się sztuka „Opowiadania zebrane”, w której gra pani razem z Marią Seweryn, swoją córką. Czy przygotowuje pani jakiś nowy projekt z jej udziałem? Trudno zachować relacje reżyser-aktor, jeśli gra się na scenie z własnym dzieckiem?

- Już przygotowałam! W Teatrze Telewizji w grudniu ukaże się „Zazdrość” Ester Vilar, w której gra również Marysia. A co do relacji. Myśli pan o relacji rodzinnej? Zawsze złościło mnie, że w mediach ten temat przykrył to, co naprawdę zrobiliśmy. Na szczęście nie dla publiczności, która rozumie, że nasze więzy krwi szalenie pomagają tematowi poruszalnemu na scenie. Problemowi bolesnej wymiany pokoleń. Bolesnej zresztą dla obu stron. Więc to, że jesteśmy matką i córką, a jednocześnie aktorkami z różnych pokoleń, różnych stylistycznie, to jeden z podstawowych elementów „w grze”.

AKPA